

NIC TRUDNEGO

- To naprawdę nie trudnego.

Ania, korzystając z pierwszych promieni wiosennego słońca, siedziała w otwartym oknie i wystawiała swój a młodą skórę na działanie promieniowania UVB. Ale w tej akurat chwili mniej ważne było poparzenie słoneczne, którego jak nie się nabawi. Ważne było to, co powiedziała:

- To naprawdę nie trudnego.

Popijaliśmy właśnie popołudniową kawę i prowadziliśmy mało zobowiązującą rozmówkę - taką, jaką prowadzi rozleniwieni początkiem wiosny pracownicy najemni we wszystkich biurach tego i innych światów. A konkretnie, temat brzmiał (później miałem uświadomić sobie, że to właśnie Anka go wywołała): "Co by było, gdybyś otrzymał w prezencie nadludzkie możliwości? Gdybyś był niemalże równy bogom? Gdybyś mógł wszystko?"

Odpowiedziałem, bardziej rozbawiony niż podekscytowany. No bo czym tu się było ekscytować, przecież takie rozmowy i takie przedziwne pytania należą do rytuału końcowych godzin pracy, tej dziwnej pory między wytężoną robotą dla dobra firmy a wejściem w rytm codziennych domowych obowiązków, gdy dzisiejsze zadania grzecznie śpią już zamknięte w swoich teczkach i segregatorach, a jutrzejszych nie oplaca się otwierać, bo i tak się nie zdąży nic zrobić, a trzeba czymś zająć wolny czas, gdy nie uchodzi wychodzić, i tak po prawdzie - nie chce się wychodzić, bo w domu czeka przecież kolejna uciążliwa praca, a pobajdurzyć o czymkolwiek, czy poklikać bez celu na komputerze w miłym towarzystwie, od czasu do czasu też warto.

Odpowiedziałem więc, że przyjąłbym taki dar, bo grzechem byłoby go odrzucić. Nie, nie uważałbym się za wybrańca niebios ani nadezłowieka. Sądziłbym raczej, że to ciężka służba. Dawno już przestałem cierpieć za miliony i płakać nad każdą niesprawiedliwością świata tego, ale pojęcia takie jak: altruizm, poświęcenie dla innych czy solidarność międzyludzka nie są mi jeszcze zupełnie obce. Nie czuję się powołany do zbawiania świata i decydowania, co jest dobre dla wszystkich, ale gdyby wpadły mi w ręce środki pozwalające choćby w niewielkim stopniu zmniejszyć cierpienie na Ziemi, to byłbym egoistą, gdybym z nich nie skorzystał. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z ciężaru odpowiedzialności. Niczego nie robiłbym pochopnie. Każda decyzja o ingerencji byłaby dogłębnie przemyślana. I niech mi nikt nie mówi, że jestem pełen pychy i przeceniam swoje możliwości. W końcu - dla mnie byłby to największy ciężar.

Właśnie wtedy powiedziała:

- To naprawdę nie trudnego. Wystarczy tylko zrobić tak... - i strzeliła palcami.

- Cóż miałem począć? Pozostawało jedynie śmiertelnie poważnie przytaknąć, by po chwili wybuchnąć śmiechem. Anka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie wszedł nasz szef, pan Krzysztof.

- Pani Aniu! Panie Darku! Już po piątej. Bierz kapotę, chromol szefa i robotę. Sio, do domu!

Pan Krzysztof słychał ze swojego poczucia humoru i z tego, że często myliła mu się rola pracodawcy z rolą pracownika. A może była to po prostu gra pt. "Ja-jestem-jeden-z-was...?"

W każdym razie skutecznie przywołał nas do porządku. W dobrze zorganizowanej instytucji nawet czas na ploty jest regulowany przez szefa. Nie sposób wyobrazić sobie, by pracownicy mogli obijać się bez celu po godzinach, gdy nie czują na sobie uważnego spojrzenia zwierzchnika. Więc oboje z Anka rzuciliśmy się do pakowania i ubierania, jak te stare, dobrze wytresowane psy podwórzowe, które w mig zgadują, czego chce od nich gospodarz. Po chwili gotowi do wyjścia staliśmy na korytarzu, by wziąć udział w ceremonii pożegnania - pierwsze "do widzenia" dla Wielkich Wodzów w Białym Gabinetcie, następne dla Mniejszego Wodza w Strażnicy U Wejścia, ostatnie dla pośledniego ludu pracującego, który zresztą jak i my tłoczył się nerwowo w przedpokoju, zawstydzony, przylapany na gorącym uczynku posiadania w pracy prywatnych myśli. Najwyższy Wódz skinął nam protekcyjnie swoją szlachetną głową i z ulgą wypadliśmy na schody.

Przed bramą rozpierchaliśmy się jak stadko spłoszonych kurecząt, które co prawda nie widzą już jastrzębia, ale tak na wszelki wypadek wolą nie być na widoku. Anka popędziła w prawo, ja w lewo do Trasy Łazienkowskiej. I nie zdążyłem jej powiedzieć, że ma wyjątkowo dobrze - jak na kobietę -rozwinęta wyobraźnię. Może to i lepiej. Nie wiadomo, czy potraktowałaby te słowa jak komplement, którym miały być. Ostatnio dziwnie reagowała na to, co mówiłem. Albo też to, co ja mówiłem, było dziwne, co zresztą na jedno wychodzi.

Wehodząc po kładce spojrzałem na zegarek. Cholera, późno! Jadzka znowu będzie zła. Znowu będzie gderanie, że jeśli tak bardzo kocham pracę, to może z nią powinienem się ożenić. I oczywiście na 'nic się zdadzą tłumaczenia, że to chyba ona bardziej potrzebuje mojej pracy, a raczej moich pieniędzy. Skądś trzeba brać na samochód, czesne w dwóch prywatnych szkołach, zagraniczne wycieczki i całe mnóstwo innych, coraz to nowych gadżetów. O ciągłym gadaniu,

jakie okropne jest mieszkanie w bloku, już nie wspomnę.

Gdyby od razu przyjechał autobus, może burza przeszłaby bokiem. Ale - zgodnie z prawem Murphy'ego - najbliższy przyjedzie zapewne za pół godziny.

Ledwie to pomyślałem, nadjechało 182. Uradowany wpełchnąłem się na najniższy stopień i całą drogę przebyłem marząc, jak by to było wspaniale mieć nadludzkie możliwości. Jedyne zgrzyt sprawił jakiś pijaczek, który na cały głos powiedział sam do siebie:

- A może naciągnąć tego frajera, który leży na drzwiach i ma minę, jakby pieprzył się ze Scorupcową?

To było o mnie! Spojrzałem na niego i facet się spłoszył. Sprawilo mi to przyjemność. Od dawna na nikim nie zrobiłem takiego wrażenia. A że pijaczek? Lepszy rydz niż nic...

Czerwony autobus ulicami mego miasta mknął, a ja oddawałem się słodkim rojeniom o tym, jak przywróciłbym pokój na Balkanach, zapewnił Polsce dobrobyt, zlikwidował narkomanię w całej Europie. Zaraz - dlaczego tylko narkomanię? A złodziejstwo, gwałty, morderstwa i prostytutka to może nieszkodliwe odchylenia? Gdybym miał nadludzkie możliwości, zlikwidowałbym całe to świństwo!

Z tych marzeń wyrwał mnie głos kierowcy:

- Panie, pętla. Koniec trasy, znaczy się... Pijany, czy co...?

To już drugi facet, który umilkł i zniknął, ledwo na niego spojrzałem. Zdążył tylko wymamrotać: - Przepraszam.

Nie miałem czasu na upajanie się sukcesem, bo przed oczami duszy stanęła mi Jadźka. Gwałtownie ruszyłem w kierunku domu, wróżąc sobie po drodze z kroków: będzie awantura, nie będzie awantury... Ostatni sus wypadł na słowach:

"nie będzie". Odetchnąłem z ulgą.

To, co zastałem w domu, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Stół nakryty do obiadu, barszcz ukraiński na talerzu i pierogi ruskie w garnku, butelka schłodzonej wódki na stole. Żona w sukience a nie w szlafroku, uśmiechnięta a nie skrzywiona, mówiąca ludzkim głosem.

Najpierw przezornie zjadłem obiad i wypilem dwie lufy, dopiero później powiedziałem:

- No, dobra. Mów, o co ci chodzi.

- O nic, kochanie. Pomyślałam sobie, że ostatnio byłam dla ciebie bardzo niedobra. Przecież ty tak ciężko pracujesz dla nas wszystkich, a ja... Czy możesz mi wybaczyć?

- Ja nie... to znaczy tak! Znaczą, nie ma czego wybaczać. Każdy może mieć gorszy dzień. Ja też byłem dla ciebie niedobry.

Dlaczego tak powiedziałem? Przecież to nieprawda. Znowu nie umiałem być twardy. Jak zawsze wystarczyło, by przemówiła do mnie w miarę normalnym tonem, powiedziała coś milego, zalazowała oczy, wykazała minimalną chęć naprawy tego, co tak bardzo bolało, a natychmiast miękłem jak puchowa

poduszka pod ciężarem głowy, zapomniałem o wszystkim niczym emeryt w ostatnim stadium sklerozy i sam zaczynałem się kajać jak nawrócony grzesznik. A przecież dobrze wiedziałem, że -jak zawsze - ten okres dobroci dla męża skończy się najpóźniej po kilku dniach.

Belkocząc jakieś bezsensowne usprawiedliwienia wycofałem się do swojego pokoju i wziąłem za pracę zleconą. O dziwo, nie było narzekań, że ledwie przyjdę, wsadzam nos w robotę, a o żonie nie pamiętam. Dostałem dzbanek kawy, bez informacji, jaki to ma wpływ na moje serce, dzieci były trzymane z dala od mojego biurka i nie słyszałem wyrzutów, że jestem wyrodnym ojcem. Co więcej - wolno mi było nawet nie zjeść kolacji, a Jadźka nie wyrzaskiwała, że nigdy mi nie smakuje to, co ona robi.

Co działo się w nocy, zamilczę. Powiem tylko tyle - w ogóle się działo. Rano obudziłem się cały w skowronkach, a Jadzia była śliczna, liryczna i apetyczna. Z niechęcią wychodziłem do pracy. Autobus podjechał jak na zamówienie i mknął jak rakietka. Wydawało mi się nawet, że choć korek na trasie był taki sam jak zawsze, to wokół nas się rozrzedzał. Ale to już przywidzenie, spowodowane chyba moim stanem ducha.

W pracy byłem przed panem Krzysztofem, czym wprawilem go w niesamowite osłupienie. Już wziął oddech, by rzucić znakomity dowcip o panu Darku, który nie może spać po nocach i w lunatycznym transie przychodzi do firmy, gdy spojrzał na mnie i... wyszedł bez słowa.

Anka przyglądała mi się z uwagą. Wszystko szło jak z płatka. Kontrahenci i interesanci nie spóźniali się ani o minutę, wszędzie dodzwaniałem się za pierwszym razem i nawet było coś słyhać. Udało mi się załatwić dwa razy więcej spraw niż normalnie, w tym kilka takich, które ciągnęły się od miesięcy bez większych nadziei na pomyślne zakończenie.

Wielcy Wodzowie zaczęli dostrzegać moje sukcesy, a Mały Wódz przestał protekcyjnie klepać mnie po ramieniu. Pod koniec dnia zaczęto przebąkiwać nawet o możliwości podwyżki, jeśli nadal będę pracował tak efektywnie.

Anka przez cały dzień uważnie mi się przyglądała. W końcu weszła do mojego pokoju i Zapytała:

- Rozumiesz już?

- Co niby mam rozumieć?

- Że możesz wszystko. Otrzymałeś w darze nadludzkie możliwości.

Uśmiechnąłem się, chociaż weale nie było mi do śmiechu. To już do tego doszło? Wystarczył jeden udany dzień, jeden dzień, w którym ujawniłem swoje prawdziwe możliwości, by wszystkich zaczęła zżerać zazdrość? Nie mogą znieść, że ktoś jest zwyczajnie od nich lepszy i muszą pocieszać się bajeczkami o darze Niebios? A może kosmitów? Muszę ją o to koniecznie zapytać.

- Nic nie rozumiesz. To nie ma znaczenia, kto daje prezent. Ważne, co ty z nim zrobisz.

- Nie wiedziałem, że masz zdolności telepatyczne - uśmiechałem się nadal, choć ciarki przeszły mi po krzyżu. Jeśli ona zna wszystkie moje myśli, to ja dziękuję. Poczulem, że się oblewam rumieńcem.

- Nie masz co się rumienić. Potrafię odróżniać aury myśli prywatnych i ich nie czytać. A tak w ogóle - to chodzi nie o moje, a twoje umiejętności.

- Uff, ulżyło, mi. I dziękuję za docenienie moich możliwości. Czy nie sądzisz, że należałoby zabierać się do domu?

- Ty nie wierzysz. Uwierz mi, Darek - możesz wszystko. Spróbuj. Pomyśl, co byś chciał, a to się stanie.

Już miałem powiedzieć, że chciałbym, żeby zrobiła striptiz, ale ugryzłem się w język. Kto wie, jak ważna jest dla niej ta gra i do czego może się posunąć.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mógł nie marzyć o czymś sprośnym. To by mnie krępowało... - wyraźnie zaczerwieniła się.

- No, dobra. Pomyślę sobie o czymś i co? Stanie się? Ty to sprawisz? - starałem się powiedzieć to jak najbardziej sarkastycznym tonem, ale jakoś mi się nie udało.

- Nie, .ty. Ty sam.

- A jaka jest twoja rola w tej całej sprawie?

- Ja cię wybrałam. Nasza wczorajsza rozmowa była próbą, którą przeszedłeś pomyślnie. A ja mogę ci tylko współczuć.

To się robiło coraz bardziej poważne i niepoważne zarazem. Postanowiłem jak najszybciej zakończyć całą tę zabawę. Zaraz wszystko się wyjaśni, moja panno. Tylko, jakie by tu wymyślić życzenie?

W tej chwili przypomniałem sobie, o czym marzyłem w bezsenne noce, gdy mogłem śnić na jawie i bez żadnych zahamowań popuszczać cugli fantazji.

- Dobrze - powiedziałem nieswoim głosem - chcę spotkać się z Mickiewiczem.

Nie się nie stało. Nie huknęło, nie błysnęło, nie zapadła ciemność ani nie oślepiła mnie nagle jasność.

Opadłem na kolana.

- Mistrzu... - głos odmówił mi posłuszeństwa. Wszystkie pytania, kwestie ostateczne i pikantne świństwka, które miałem chyba od zawsze przygotowane na tę chwilę, zbladły i stały się nieistotne w obliczu Tego, Przed Którym Stałem.

- Mistrzu... - tylko tyle byłem w stanie powiedzieć. I nie było sensu mówić cokolwiek więcej. W tym słowie zawierało się wszystko - i Jego wielkość, i moje uwielbienie, i całkowita bezradność naszego języka, w obliczu Człowieka, Który Powiedział Wszystko, Co Było Do Powiedzenia W Ludzkim Języku.

- Mistrzu... - szepnąłem jeszcze raz. Uśmiechnął się i odszedł.

- Teraz wierzysz? - spytała Anka. Skinąłem głową. Po twarzy płynęły mi łzy.

- Dlaczego ja? - wyszlochałem.

- Bo ja już nie miałam siły. To nasz przywilej - kiedy poczujesz, że ten dar staje się dla ciebie zbyt wielkim ciężarem, możesz wskazać następcę. Jeśli

zostanie zaakceptowany, ty będziesz wolny. Więcej - zapomnisz o wszystkim. Do tego czasu masz nieograniczone możliwości, z których możesz czynić dowolny użytek - zarówno dobry, jak i zły. Jeśli jednak nie sprostasz odpowiedzialności, konsekwencje będą przerażające, zwłaszcza dla tego, kto cię wybrał.

- Czyli dla ciebie?!

- Nie mogę więcej mówić. Musisz sam nauczyć się z tym żyć. A ja już za chwilę odpocznę...

- Ależ, Aniu, powiedz mi jeszcze... ' Zobaczyłem jej zdumioną twarz. Patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Darek, dlaczego klęczysz przede mną? Co sobie ludzie pomyślą? O Boże! Ty płaczesz! Co się stało?

- Nic. Mam tylko pewien straszny problem. Właśnie się modliłem, kiedy weszłaś. Zostaw mnie, proszę, samego.

- Nie wiedziałam, że jesteś religijny. Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie możesz. Muszę sam nauczyć się z tym żyć.

To ty tak powiedziałaś, dodałem w duchu, gdy - nadal przerażona - wychodziła z pokoju.

Zostałem sam z niewesołymi myślami. Musiałem wszystko spokojnie przemyśleć. Nie używając telefonu połączyłem się z żoną, którą poinformowałem, że mam bardzo pilną robotę. Nie dziwiło mnie już, że nie pomstowała, a nawet użaliła się nade mną. Potem, żeby nikt mi nie przeszkadzał, przenieśliem się do innego, niezamieszkałego świata i pogrążyłem się w pełnych przerażenia rozmyśleniach.

Com ja najlepszego zrobił?! Po jakie licho dałem się wciągnąć w tę idiotyczną rozmowę?! Co, za diabeł mnie podkusił?! I co teraz będzie ???!!!

Spokojnie, tylko spokojnie. Musi być jakieś wyjście. Czy tego daru nie można się zrzec? Ten, Który Mnie Zaakceptował, musi mnie z tego zwolnić. Nie może tak być, że jakaś zwariowana pannica strzela sobie od niechcenia palcami i Bogu ducha winny człowiek staje przed najtrudniejszym zadaniem, przed jakim można stanąć. Dlaczego nikt mnie nawet nie raczył spytać o zgodę?! Przecież ja chyba mam tu coś, cośkolwiek do powiedzenia?! Przecież cała ta rozmowa nie była na poważnie. To były takie teoretyczne rozważania. Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że to na serio?! A gdzie ostrzeżenie: "Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciw tobie"? Gdzie mój adwokat? Z kim mam się skontaktować? Przecież ja nawet nie wiem, kto mnie zaakceptował, ani kto może mnie od tego wyzwolić. A jeżeli...? A jeżeli. Ten Który Mnie Zaakceptował nie jest Tym, tylko! Tamtym? Nie, to nie mógł być Zły, cała intryga była zbyt prosta, jak na jego upodobania. Gdyby to był Zły... no, nie wiem... podchodziłby mnie w sposób wyrafinowany, zarzucał sieci powoli i stopniowo zaciskał oka. A nie tak - szast prast i po krzyku. Ale kto powiedział, że to odbyło się bez przygotowania? A może decyzja o zmianie pracy nie była moją decyzją? W szkole nie było czasu na takie głupie gadki, jak ta moja nieszczęsna rozmowa z Krysią. A i wybór rozmówcy nie był chyba przypadkowy - czy równie chętnie jak Kryśce

opowiadałbym te wszystkie rzeczy babusowi o stu kilogramach żywej wagi i końskiej szczęce? Od zawsze wiadomo, że Zły posługuje się najpiękniejszymi kobietami.

Nieee!!! Do jasnej cholery - nie i jeszcze raz nie! Niczego nie mogę być pewny, ale to jedno mogę powiedzieć bez wątpienia - aż do tej pory nie miałem nawet cienia podejrzenia, że w tej całej sprawie Zły miesza. A czego jak czego - swoich odruchów i przeczuć mogę być pewny. Już dawno przekonałem się, że jeśli zaufam sobie, jeśli nie bawię się w inteligenckie kombinowanie i nie dzielę włosa na czworo, to podejmuję dobre decyzje. Dobre także w sensie moralnym.

Wnioski są proste - nie wiem, kim jest Ten, Który Mnie zaakceptował, ale wiem, że nie jest to Zły. Wiem także, że to, co mówiłem podczas rozmowy, która była próbą, miało sens i było dobre. Co wcale nie przybliżyło mnie do odpowiedzi na pytanie, jak mam postępować, jak wykorzystać ten dar, czy może przekleństwo. I czy w ogóle wykorzystać. Przecież mogę nie robić nic, żyć jak do tej pory i udawać, że nic się nie zdarzyło. Jeśli w żaden - ani zły, ani dobry sposób - nie wykorzystam swoich nowych możliwości, to nic się chyba nie stanie? Nikt za moją bezczynność nie może zostać ukarany, a całego świata nawet nadczołowiek nie jest w stanie uratować. No dobra, wczoraj śpiewałem nieco inaczej, ale naprawdę nie miałem pojęcia, że to nie są tylko teoretyczne rozważania.

W tym momencie, nieco uspokojony, pozwoliłem sobie na rzut oka na świat, który udzielił mi chwilowego schronienia. I zatkało mnie. Takie widoki widywałem tylko w pisemkach Świadków Jehowy lub innych sekt religijnych, które starały się nawrócić mnie obrazami rajy na Ziemi. Widok nie do opisania w ludzkim języku. Wprost zapierało dech w piersiach. Soczysta zielen traw, przeczysty lazur nieba, poszarpane górskie szczyty spowite białymi chmurami, kryształowa woda kaskadami spadająca do przezroczystego jeziora o idealnie widocznym, czystym piaskowym dnie. Powietrze pachnące lasem i młodością, skład idealny dla człowieka, żadnego smogu. Nie przysięgnę, ale chyba widziałem antylopy pasące się w towarzystwie lwów.

Tak musiała wyglądać Ziemia u zarania swych dziejów, zanim jeszcze człowiekowi nie przyszło do głowy oderwać się od natury i ogłosić się jej samowolnym suwerenem, a raczej dyktatorem. Do takiego świata wpuścić człowieka, to błyskawicznie przerobi go na pustynię, wysypisko śmieci i cmentarzysko zarazem. Te rozmyślenia utwierdziły mnie w decyzji o nicnierobieniu. Jeśli byłoby w czyjejkolwiek mocy uratować świat, to do dzisiaj żylibyśmy w takim rajskim otoczeniu jak to, które rozciągało się przede mną. Zaiste, dla ludzi nic nie da się uczynić. Będzie to, co musi być, nawet gdyby legion takich jak ja wziął się do szaleńczej roboty.

Podjąwszy decyzję, pokrzepiony na duchu wróciłem do domu. Wszyscy już spali. Cicho rozebrałem się i

wślizgnąłem do łóżka. Zasnąłem, ledwo przyłożyłem głowę do poduszki.

Przebudziłem się w środku nocy. Wokół było przeraźliwie cicho. Nie słyszałem nawet oddechu żony ani tykania budzika. Wszędzie panowały kompletne ciemności, tylko w jednym miejscu na horyzoncie (na horyzoncie?!) świeciła niewielka, lecz ciągle powiększająca się plama. W końcu znalazła się naprzeciw mnie. Zachłysnąłem się i chciałem krzyknąć, ale moje usta były nieme.

Przede mną stała Ania. Ale nie ta znana mi - śliczna, lecz w końcu całkiem zwyczajna dziewczyna. Blask bijący z jej dłoni rozchodził się w promieniu wielu lat świetlnych, a był tak potężny, że musiałem mocno zacisnąć powieki, by nie oślepnąć. Równie potężny był Jej (Jego?) głos, który nagle zabrzmiał w moich uszach:

- Otwórz oczy. To przedtem byłeś ślepy i głuchy. Już nic gorszego ci nie grozi.

Posłusznie podniosłem powieki. Jasność, która bila od Niej (Niego?) nie oślepiła. Raczej przeświecała.

- Właśnie skończyła się twoja próba. Zawiodłeś. Wystarczyła myśl, że nie zbawisz całego świata, byś w swej pysze zaparł się zadania, które przed tobą postawiono. Nawet nie pomyślałeś, że nie jesteś jedynym, że ludzkość dawno by zginęła, gdyby nie cichy trud tysięcy Wybranych. Za karę pokażę ci, co by Się stało, gdybyś naprawdę otrzymał Dar.

Wolałbym nie opowiadać D tym, co ujrzałem: spustoszone ziemie, pola śmierci, stosy szkieletów, a na końcu - pustkę absolutną, i

- A teraz zobaczysz, co straciłeś, okazując się niegodnym. Moim oczom ukazał się korowód ludzkich dziejów. Widziałem tych, którzy sprostali zadaniu - rozpoznałem świętego Piotra, Biedaczynę z Asyżu w towarzystwie Matki Teresy z Kalkuty i biskupa Mikołaja z Nicei, Sokratesa z kielichem cykuty w ręku dyskutującego z Janem Pawłem II, Mickiewicza pod rękę z Krasińskim i wielu, wielu innych. Najwięcej jednak było bezimiennych. Chłonałem ten obraz całą duszą, by niczego nie uronić i nie zapomnieć. I znowu po mej twarzy płynęły łzy - tym razem radości.

- Na pocieszenie powiem ci, że codziennie poddajemy próbie nowych potencjalnych Wybranych. Jeden na tysiąc nie zawodzi.

Znikła. Przepadła jasność, a ja znowu znalazłem się we własnym łóżku. Obok w najlepsze chrapała żona, przez bezruch korytarza dochodziły głosy dzieciaków paplających przez sen. Tylko zapuchnięte oczy i dziwny poblask mojej skóry świadczyły, że to wszystko mi się nie śniło.

Dzień zaczął się jak zwykle - gderaniem żony, płaczem dzieci, korkiem na Trasie, spóźnieniem do pracy i nieśmiertelnym okrzykiem pana Krzysztofa, że wszyscy oczekiwali mnie usychając z tęsknoty.

Anka powitała mnie normalnie, tak jak zawsze.

Wszedłem do swojego pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Wreszcie mogłem odetchnąć i pozwolić sobie na chwilę rozluźnienia. To naprawdę nie było nic trudnego. Trzeba było tylko przez trzydzieści kilka lat

odstawiać tzw. dobrego. Nawet nie przyszło im do głowy, że zło i dobro to pojęcia tak względne. A już ten moment rozważań, kto-też-mnie-zaak-ceptował... To był majstersztyk kamuflażu, Oscar wszechczasów, słowem - kawałek pickielnic dobrego aktorstwa.

Teraz Mój Pan dysponuje pełną listą agentów wroga. Wymazanie ich z historii świata nie powinno stanowić żadnego problemu. Z radości po raz pierwszy od wicków pozwoliłem sobie wypuścić dym nozdrzami i powachlować się ogonem. Za chwilę zostanę ulubieńcem Mego Pana, pomyślałem i... ocknąłem się.

Anka wciąż jeszcze siedziała na oknie, za którym z wolna zapadała noc. W jej ręce lśniła mała buteleczka.

- Skopolamina - powiedziała entuzjastycznym tonem panienci reklamującej preparat na pryszcze. - Elixir prawdomówności. Skuteczny i łatwy w użyciu. Z nią wyciągniecie prawdy nawet z czorta to nic trudnego.

Janusz Uhma